

ZABILI GO I UCIEKŁ

czyli - zeznania recenzenta w kryminalnej sprawie

KRZYSZTOF KUCHARSKI

IKT sobie pewnie nie zdaje z tego sprawy, ale ja twierdę, że pisanie recenzji ma wiele wspólnego z corrida, a więc walką polegającą na serii uników, wysmyków, ominięć, by wreszcie w decydującym momencie zadać śmiertelny cios. Drapieżnie to napisałem...

Ale na arenie ma się do czynienia z żywymi bykami, czego niestety, nie można odnieść zawsze do teatru. Co ma zrobić recenzent-torreador, który zamiast stoczyć zwycięską walkę z ognistym bykiem otrzymuje porcję papki bez smaku i do byka niepodobną.

Czasami myślę sobie jacy szczęśliwi są moi znajomi mogący z zystym sumieniem powiedzieć: „do teatru chodzimy rzadko”.

Ja chodzę chyba zbyt często... nie, nie to nie pasja. To nałóg. Po prostu wstrętny, obrzydliwy nałóg! Proszę mi więc wybaczyć, że jako nałogowiec nie wykazałem ani krztyn silnej woli i obejrzałem ciurkiem, dzień po dniu, dwa produkty wrocławskich scen. W Teatrze Współczesnym „Miłość jest złym dorad-

cą” Francisca Durbridge’a i w Teatrze Polskim (scena kameralna) „Bezsenność” Lucille Fletcher. Sztuki sensacyjne. Aby oddać sprawiedliwość, trzeba stwierdzić, że wybór (szczególnie autorów) został dokonany z dużym rozeznaniem. W lekturze muszą to być mrozące krew w żyłach dzieła. Na scenie jest już z tym mrożeniem trochę gorzej, bo do biednych autorów wtrącają się reżyserzy, aktorzy i jeszcze wiele innych person — jak na złość.

Każdego roku wiele osób odkrywczo spostrzega, iż w lecie „chodliwe” są sztuki lekkie, gdyż widz najchętniej oddaje się relaksowi po męczącym sezonie teatralnym. To prawda. Uważam jednak że najchętniej do teatru i to obojętnie czy w lecie, czy w zimie, jesienią i wiosną — chodzi się na dobre przedstawienia.

WUBIEGŁY piątek wszedłem na widownię Teatru Współczesnego. Ktoś za mną przekreślił gałkę ogromniastego telewizora. Odstąpiła się kurtyna i na ekranie zwanym tutaj scena

zaczęłam oglądać kolorową trójwymiarową „Kobrę”. Francis Durbridge to autor nie wymagający rekomendacji. Na szklanym ekranie oglądaliśmy jego „Szal”, „Melisse”, „W biały dzień” i powtarzane niedawno widowisko „Harry Brent”.

Mija się jednak z celem praca nad pozorami tylko łatwym kryminałem, jeśli nie można zapewnić mu w stu procentach znakomitej obsady, jeśli reżyser nie jest fachowcem w tym gatunku i jeśli, wreszcie, nawet ci najlepsi aktorzy nie bardzo mają przekonanie do tego, co robią.

Przez całe przedstawienie Makarewicz (reżyser) nie usiłuje budować emocji, które niesie sam tekst. Jakby mu zależało na tym, by widz tylko siedział cierpliwie w fotelu i słuchał, co wyniknie z dialogu. Trzeba przyznać, że pomimo skomasowanych ataków dążących do unicestwienia całego przedsięwzięcia, tekst dzielnie się broni. Poza Edwardem Lubaszką (Dawid Ryder) i Zdzisławem Kuźniarem (George Rudd), którzy

jako tako się w tym znaleźli, trudno wytrzymać w fotelu obserwując z zimną krwią jak aktorzy mordują sztukę, się nawzajem i widzów.

Na zupełnie przeciwnym biegu nie do dwójki wymienionych panów stoją Marzena Tomaszewska-Głńska (Klara Norman) i Jerzy Głński (Larry Cambell) — oboje są zgodnie koszmarnie bezradni. Trochę to mi przypomina amatorskie przedstawienie, które niedawno widziałem w jednym z domów kultury. Reszta wykonawców oscyluje gdzieś w środku między dwoma biegunami. Ale nie jest to bynajmniej średnia poprawność.

Nie widzę sensu wyrzucania pieniędzy na takie „Kobry” w teatrze, bo przegrywają one przez nokaut z tymi na szklanym ekranie, a powinno być odwrotnie.

NIC dziwnego, że następnego dnia (sobota) wszedłem mocno przynębiony na widownię Teatru Kameralnego. Z ręką na sercu przyznaję, spodziewałem się najgorszego, po piątkowych wrażeniach. Jednak tym razem zrecznie napisana intryga znalazła lepszego sojusznika w aktorach. Bardzo ostro, ekspresyjnie i konsekwentnie zagrana była postać Heleny Wheeler (Iga Mayr), aktorka absolutnie zaskoczyła nas pointą. Nie tylko wywiodła w pole bohaterów sztuki, ale i wszystkich widzów, którzy nie spodziewali się takiego zakończenia. Bardzo dobra w groteskowej roli niemieckiej służącej była Jadwiga Ziemiańska. Dawno nie widziałem tej aktorki w takiej dyspozycji. Serdecznie mnie ubawił Zygmunt Bielawski jako pan Appleby. Był najżywszą postacią w tej sztuce, mając wręcz popisowe momenty. Reszcie zespołu aktor-

skiego można to i owo powytykać.

Jednak największe pretensje mam do reżysera tego „kryminału” Marii Straszewskiej. I w tym wypadku było to robione bez znajomości reguł gry. Niech odkryję po raz dwutysięczny dwunasty, że sztuka sensacyjna wymaga od reżysera czegoś więcej, niż przeczytania didaskalii. Nie do zniesienia było rozebranie kilku scen, że tak powiem, sygnałowych dla widza, pilnie śledzącego intrygę. Choćby spiskowanie pary Remiszewska — Danielewski tuż przed wyjazdem pani Wheeler (Mayr).

Z tych to powodów misterna pałeczyna anegdoty kryminalnej staje się dla wychowanka telewizyjnych teatrów sensacją siatką z grubych powrozów z supkami. Trudno diament oszlifować siekierą. Trzeba mieć do tego specjalne narzędzia, wie o tym każdy reżyser. Przepraszam nie każdy.

Trudno mi również wytłumaczyć sobie dlaczego w czasie kanikuły trzeba usprawiedliwiać teatralne brakoróbstwo. Co w obu wypadkach można zauważyć.

Z dwojga złego doradzałbym wszystkim wybranie się do Teatru Kameralnego. Mniej trzeba przytykać oczy. Na tym z przykrością zeznania swoje kończę.

Teatr Współczesny: Francis Durbridge „Miłość jest złym doradcą”. Przekład — Kazimierz Piotrowski. Reżyseria — Andrzej Makarewicz. Scenografia — Łukasz Burnat. Premiera — maj 1973.

Teatr Polski (scena kameralna): Lucille Fletcher „Bezsenność”. Przekład — Mira Michałowska. Reżyseria — Maria Straszewska. Scenografia — Marcin Wenzel. Prapremiera — maj 1973.

Garete Robotniko w 146 21.06.73